

Norman DAVIES

HISTORIA IGRZYSKIEM PANA BOGA?

Polska, Europa i świat dziesięć lat po upadku muru w Berlinie*

Jan Paweł II stoi na czele tych, którzy słusznie uważają, że źródło i istota europejskości znajdują się w tradycji chrześcijańskiej. Europa bez Chrystusa to ciało bez duszy.

Ekscelencjo! Magnificencjo!

Szanowne Władze Miasta, Województwa i Państwa!

Mili Koledzy, Drodzy Państwo!

Mam przed sobą trudne zadanie. Z jednej strony jestem po raz drugi gościem dostojnego Instytutu Jana Pawła II KUL, z drugiej strony to spotkanie w ramach Konwersatorium Myśli Ojca Świętego połączone zostało z odważną inicjatywą Rady Miasta Lublina. Muszę zatem powiązać uwagi o charakterze duchowym ze „świeckimi”. W tym wypadku Katolicki Uniwersytet reprezentuje Deum, a miasto Lublin reprezentuje hominem.

Poza tym, jak widać z programu, przedstawiono mi nieskromny tytuł „Polska – Europa – świat” – wszystko w ciągu czterdziestu minut. Brakuje tylko: „kosmos” i „wieczność”.

Jestem w Lublinie po raz ósmy. W roku 1962 przyjechałem tu z grupą studencką podczas mojej pierwszej wizyty w Polsce. W roku 1968 przybyłem na kongres Polskiego Towarzystwa Historycznego w Lublinie. Latem 1981 roku zapisałem się do Szkoły Letniej UMCS, ponieważ bez tego konsul PRL w Londynie nie chciał wydać mi wizy. Ale przy okazji wygłosiłem referat w Szkole Letniej KUL-u. W listopadzie 1981 roku wróciłem do Lublina składając wizytę ks. Marianowi Radwanowi, który, tak się składa, jest uczniem śp. mojego teścia. Pamiętam z tamtego czasu premierę filmu Andrzeja Wajdy *Człowiek z żelaza*. W roku 1983 przyjechałem na sympozjum odbywające się na KUL-u z referatem o ekumenizmie i pamiętam, że nie sprowokował on żadnych pytań... W roku 1988, z okazji dziesięciolecia pontyfikatu Jana Pawła II byłem po raz pierwszy gościem Instytutu. Z tamtej wizyty pamiętam wiele rzeczy, między innymi ingerencje cenzury. Kiedy „Tygodnik Powszechny” i później kwartal-

* Wykład wygłoszony w auli KUL 23 V 2000 r. na zakończenie Konwersatorium Myśli Jana Pawła II w roku akademickim 1999/2000 oraz z okazji wręczenia prof. Normanowi Daviesowi przez Radę Miejską tytułu Honorowego Obywatela Miasta Lublina (przyp. redakcji).

nik „Ethos” opublikował tekst mojego referatu, był w nim akapit zatytułowany „Walka z cenzurą”, a pod nim biała kolumna. W roku 1993 miałem zaszczyt otrzymać doktorat honoris causa UMCS. Teraz, w roku milenijnym, jestem w Lublinie po raz ósmy. Wydaje mi się, że utrzymałem równowagę między tą uczelnią a tamtą...

Podczas mojej poprzedniej wizyty w Lublinie koledzy zabrali mnie na wycieczkę do Sandomierza. Po drodze zatrzymaliśmy się w Zawichoście u proboszcza i stamtąd poszliśmy nad Wisłę. Pamiętam doskonale ten niesamowity wiosenny krajobraz: wysoka skarpa nad rzeką, przed nami nie kończąca się równina europejska, ksiądz proboszcz nosił kapę, niczym bohater Wagnera. Wiał silny wiatr ze wschodu, śnieg nie padał, lecz jeździł horyzontalnie po ziemi. Myślałem, że dokładnie wiem, gdzie jestem: jestem tu, gdzie zachód krzyżuje się ze wschodem. Takie jest położenie Lublina, dlatego Lublin jest doskonałym barometrem nie tylko meteorologicznym, ale również politycznym. W Lublinie można się dowiedzieć, z jakiego kierunku wieje wiatr.

W Lublinie jest jeszcze dzielnica Majdan Tatarski, która pokazuje, jak blisko przez wieki była granica polsko-litewska. W Lublinie znajduje się kaplica Świętej Trójcy: architektura gotycka, freski bizantyjskie. W Lublinie jest również zamek królewski, gdzie miała miejsce unia lubelska, a gdzie później była twierdza carska. W naszych czasach Lublin zasłynął z tego, że działały tu pierwsze władze ludowe (które jednak wcale nie były ludowe) w postaci tak zwanego komitetu lubelskiego, który powinien się raczej nazywać komitetem moskiewskim. Równocześnie warto stwierdzić, że to właśnie w Lublinie, a nie w Gdańsku, wybuchł pierwszy strajk w lipcu 1980 roku, kiedy te same władze ludowe zaczęły się chwiać. Jeszcze raz z Lublina wyszedł niedwuznaczny sygnał, że pogoda polityczna się zmienia.

Po Lublinie – Polska. Dziesięć lat po upadku muru berlińskiego Polska jest wolna. Ciężary psychiczne i materialne represyjnego reżimu komunistycznego spadły ze zmęczonych pleców Polaków, chociaż dziedzictwo tego długiego okresu niewoli będzie trwało jeszcze długo. Istnieje klimat jeśli nie całkowitego zadowolenia, to w każdym razie nadziei. Istnieje swoisty system demokracji, który może nie być najlepszy na świecie, ale też nie jest najgorszy w porównaniu do sytuacji panującej w krajach dawnego bloku wschodniego. Istnieje system gospodarki wolnorynkowej, który rozwinął się stosunkowo szybko i skutecznie. Istnieją też wszystkie uboczne skutki większej wolności: spory polityczne, osztańczeniowe bogactwo obok rażącego ubóstwa, nieograniczona konsumpcja, chorobliwy materializm, wyższy poziom przestępczości, pornografia, narkotyki, młodzież bez dyscypliny i „McDonaldy”.

Udział Jana Pawła II w upadku imperium sowieckiego był nieporównywalny. Wiemy o tym od samego Michaiła Gorbaczowa. W Polsce nie przez konfrontację bezpośrednią, lecz przez spokojny autorytet moralny Ojciec Święty uosabiał zasadniczą różnicę między rządzeniem siłą a rządami dusz.

A co dalej? Co Polska ma robić w erze globalizacji, kiedy znaczenie suwerenności państwa codziennie maleje? Oto prawdziwy dylemat. Polska odzyskała niepodległość po długich walkach i każdy Polak ceni tę wolność. Polska jednak spóźniła się tak bardzo nie z własnej winy, a musi od razu myśleć o dobrowolnym oddaniu części skarbu suwerenności. Bolesne to, ale prawdziwe. Dzisiejsze zagrożenia nie pochodzą, jak sześćdziesiąt czy sto lat temu, ze strony drapieżnych sąsiadów. Niebezpieczeństwo leży w sile ogromnych międzynarodowych firm, w błyskawicznych formach komunikacji światowej, w wykorzystywaniu osiągnięć informatyki pozostającym poza kontrolą instytucji państwowych, w światowym rynku kapitału i pracy. Wygląda na to, że w przyszłości bezpieczniej będzie żyć w większych „klubach” wielopaństwowych, nie zaś w odosobnionych państewkach. Wielu Anglików wierzy, że stoimy przed trudnym wyborem: albo wstąpić do „klubu” północnoamerykańskiego, albo bardziej entuzjastycznie „pójść do serca” Unii Europejskiej. Na razie Wielka Brytania jest członkiem Unii, ale nie należy do eurozony. Wahamy się, bo skutki ostatecznej decyzji mogą trwać przez całe wieki.

Posłużę się tutaj metaforą morską. Powiedzmy, że Polska jest statkiem, który przez wiele lat był opanowany przez piratów. Dopiero po ciężkich walkach załódze udało się wyrzucić piratów, uwolnić pasażerów i teraz sama kieruje rejssem. Nic dziwnego, że taka załoga, dumna ze swoich sukcesów, nie chce nikomu oddać steru. Woli płynąć tam, dokąd ma ochotę, wolna jak ptak. A jednak ocean jest szeroki, piraci nadal czyhają, nadciąga burza, a rekiny krążą w morzu. Czy nie lepiej zatem, żeby samotny statek połączył się w tej sytuacji z większym konwojem? Przepraszam za alegorię, ale tak moim zdaniem wygląda kandydatura Polski do Unii Europejskiej.

Po Polsce – Europa. Przede wszystkim nie wolno myśleć, że wszystko w Europie czy w Unii Europejskiej wygląda różowo. Polska prawdopodobnie połączy się ze wspólnotą, która ma poważne problemy i polityczne, i „kierunkowe”.

Problemy polityczne koncentrują się wokół dylematu, czy rozszerzyć Unię, czy też pogłębić istniejące instytucje. Owszem, oficjalna polityka Unii popiera równoczesne rozszerzenie i pogłębienie. Praktycznie jednak czołówka unijna odłożyła rozszerzenie i przyspieszyła pogłębienie. Dziesięć lat po upadku imperium sowieckiego jedyne państwo dawnego bloku, któremu udało się wejść do Unii, to dawna NRD. Kolejna fala kandydatów, między innymi Polska, czeka niecierpliwie w kolejce. W międzyczasie, zgodnie z traktatem z Maastricht, członkowie Unii świadomie zdecydowali, że należy utrzymać program i plan ustalony dla Europy Zachodniej kilka lat wcześniej. Tym samym zdecydowali, przez swoje milczenie na ten temat, że w swoich decyzjach nie dadzą pierwszeństwa zmianom, które zaszły we wschodniej części kontynentu. Historyk patrzy na ten krok z pewnym smutkiem. Traktat z Maastricht został podpisany 9 grudnia 1991 roku, tego samego dnia, w którym liderzy Rosji,

Ukrainy i Białorusi, obradując nie tak daleko od Lublina, postanowili „zamknąć” Związek Sowiecki na zawsze. Tego samego dnia.

Co stałoby się, gdyby zachodni politycy wstrzymali swoje plany chociaż na krótki czas i poczekali z decyzjami, próbując uzmysłwić sobie ogromne znaczenie wypadków na Wschodzie? Tego nie wiemy. Nie uczynili tak bowiem. Teraz doświadczamy konsekwencji tego stanowiska. Przygotowując „Euroland”, kompletując zjednoczony rynek i witając bogatych kandydatów skandynawskich, Unia Europejska okazała się wstydliwie niezdolna do szybkiej i sprawnej interwencji na przykład w rozpadającej się Jugosławii. Wspólną walutę wprowadzono w tak nie przemyślany sposób, że cztery państwa Unii, między innymi Wielka Brytania, znajdują się poza eurozoną. Wejście pierwszej fali nowych kandydatów do Unii jest poważnie utrudnione, a perspektywa przyjęcia dalszych państw wydaje się coraz bardziej niemożliwa. Podczas gdy kandydaci przygotowują się do „przeskoczenia wysokiej poprzeczki” aktu zjednoczeniowego, mury Unii rosną coraz wyżej.

Najlepsza metafora, którą słyszałem o tej sytuacji, przedstawia obraz wielkiego domu sztucznie podzielonego przez betonowy mur. Mieszkańcy zachodniej połowy dobrze żyją i należąca do nich część domu jest po remoncie. Jest im ciepło, sucho, czysto i mają mnóstwo jedzenia. Mieszkańcy wschodniej połowy żyją w strasznych warunkach: dziury w dachu, ogrzewanie działa źle, okna rozbite, mokro, chłodno, brudno, bieda i rozpacz. Uzbrojony strażnik nie pozwala im nawet spojrzeć na drugą stronę muru. A potem nagle betonowy mur się kruszy, dom nie jest już podzielony. Ale co robią zachodni mieszkańcy? Czy spieszą remontować pokoje sąsiadów? Nic podobnego. Wręcz przeciwnie, trzymają się ustalonego planu instalując u siebie skomputeryzowaną klimatyzację.

Brak wyraźnego kierunku w polityce Unii Europejskiej widoczny jest na każdym kroku. I trzeba tu przyznać, że Unia gubiła ten kierunek stopniowo w ciągu wielu lat. Pięćdziesiąt lat temu ojcowie ruchu europejskiego, na przykład Robert Schuman czy Jean Monnet, dobrze wiedzieli, co robią. Wykluczeni z wielkiej polityki przez sojusz angloamerykański i wyparci ze sfery wojskowej przez powstanie NATO, wybrali strategię integracji gospodarczej jako świadomą drogę do wyższych i szerszych celów. Traktowali sukces ekonomiczny jako instrument do przeprowadzenia reform i do współpracy w każdej dziedzinie. W tym sensie nie byli materialistami marzącymi jedynie o dobrobycie, lecz raczej idealistami wysokiej klasy, którzy posiadali solidne zasady moralne i polityczne i którzy zostali przypadkowo pchnięci na tory gospodarcze przez powojenne okoliczności. Czekali tylko na moment, kiedy to ograniczenie ustąpi. Z czasem jednak tymczasowa strategia zmieniła się w permanentną doktrynę. Nastąpił *Wirtschaftswunder* lat sześćdziesiątych, dobrobyt został osiągnięty, lecz zimna wojna trwała, wojska amerykańskie nadal stacjonowały w Europie, a NATO umacniało się. Przebudowa struktur politycznych była niemożliwa.

„Ojcowie” Europy odeszli i ambicje polityków zmniejszyły się. Kiedy Wielka Brytania przystąpiła do Wspólnoty w roku 1973, brytyjska opinia publiczna przyjęła tę decyzję pozostając w mylnym przekonaniu, że przystępuje wyłącznie do wspólnego rynku. Od tego czasu „minimaliści” rządzący w Radzie Ministrów mają przewagę, ponieważ stosują prawo weta. Nie ma koherentnej polityki zagranicznej Unii, nie ma sprawnej organizacji wojskowej. Administracja Unii jest horrendalnie rozrzutna. Maksymaliści lansowali eurozonę mimo braku poparcia czterech członków, a Unia stawała się dwupiętrowa, czyli „dwuszybkościowa”.

Problemy podstawowe, jak deficyt demokratyczny, który wymaga umocnienia kompetencji Parlamentu Europejskiego, lub konieczność przekształcenia polityki rolnej, która zasadniczo blokuje przystąpienie do Unii nowych kandydatów, pozostają nadal nie rozstrzygnięte. Politycy Unii bardzo powoli dochodzili do przekonania, że również Unia musi się zaadaptować do potrzeb kandydatów, nie zaś tylko kandydaci do wymagań Unii. Unia nie jest biedna, ale nie wszystkie rządy chcą zaakceptować fakt, że jej rozszerzenie kosztuje, a koszty te muszą być sprawiedliwie rozłożone.

Wśród Ojców Europy dominowali katolicy czy też chrześcijańscy demokraci: Spaak, Schuman, de Gasperi, Adenauer, a później Delors – wszyscy oni byli ludźmi wierzącymi. Mieli horyzonty szersze niż kwestia ceny masła lub produkcji stali. Wszyscy też pochodzili z regionów przygranicznych, byli świadkami konfliktów etnicznych i zniszczeń wojennych: Spaak pochodził z Belgii, Schuman z Lotaryngii, de Gasperi z południowego Tyrolu, Adenauer zaś z Nadrenii. Ich wizja połączyła zwykłą ludzką determinację, aby położyć kres wojnie z wiarą katolicką. Wizja ta miała wyraźny wymiar moralny i duchowy. Następne pokolenie jednak nieco zagubiło to podejście. Dobrobyt niewątpliwie osłabia wrażliwość. Bolesna pamięć wojny cofnęła się, młodzi ludzie stopniowo przestali chodzić do kościoła, często rezygnowali nawet z kościelnego ślubu czy chrztu dzieci. Co tu dużo mówić, dechrystianizacja Europy nastąpiła szybko i stała się głęboka. Statystycznie rzecz ujmując, żyjemy w Europie postchrześcijańskiej. W tak katolickim kraju, jakim niedawno była Francja, prawie połowa kościołów jest zamknięta. W protestanckiej Anglii zaledwie cztery procent ludności regularnie chodzi na nabożeństwa. Paradoksalnie, mimo poważnych strat Kościół rzymski w Anglii odzyskał pierwsze miejsce pod względem liczby osób praktykujących. Sytuacja ta wystąpiła po raz pierwszy od początku XVI wieku. Nawet w katolickiej Irlandii ma miejsce kryzys duchowieństwa, a w kraju moich przodków, w Walii, gdzie niedawno przepełnione kaplice metodystyczne podtrzymywały kulturę narodową (podobnie jak Kościół katolicki w Polsce), liczba muzułmanów w meczetach równa jest dzisiaj liczbie metodystów w kaplicach.

Żyjemy w nowych czasach. Historię tworzy się na podstawie opisu dziejów według czasu i miejsca. Obecny czas to rok 2000, jubileusz Kościoła, koniec

drugiego millennium od narodzenia Chrystusa: „a Słowo Ciałem się stało i zamieszkało wśród nas” (J 1, 14). Millennium nie ma sensu, jeśli nie jest wielkim świętem urodzinowym chrześcijaństwa. Warto w tym miejscu przypomnieć rzecz moim zdaniem skandaliczną: podczas oficjalnych uroczystości jubileuszowych w Londynie prymas Anglii otrzymał jedynie pięć minut z wielogodzinnego programu, aby wygłosić mini-kazanie i pomodlić się za naród.

Miejsce tutejsze również jest oczywiste. Polska „semper fidelis”. Jan Paweł II stoi na czele tych, którzy słusznie uważają, że źródło i istota europejskości znajdują się w tradycji chrześcijańskiej. Europa bez Chrystusa to ciało bez duszy.

Czuję, że nie wypada człowiekowi świeckiemu i historykowi proponować jakiegoś programu reewangelizacji czy duchowej odnowy dla tej zagubionej, pozbawionej kierunku Europy. Absolutnie nie jestem do tego zdolny. Mogę co najwyżej zaryzykować parę skromnych uwag odnośnie do obecnej sytuacji.

Po pierwsze, czy chcemy, czy nie, dzisiejsza Europa jest coraz bardziej różnorodna pod względem religijnym, etnicznym i kulturowym. Wszystkie kraje przyjmują dziś tysiące obcych robotników, imigrantów i uchodźców. Nawet Polska, która przez II wojnę światową została sztucznie ujednolicona, liczy dziś coraz więcej różnych grup i wyznań. Godna postawa wobec tej różnorodności nie może polegać tylko na biernej akceptacji, ale raczej na czynnym szacunku. Człowiek mocny siłą swoich przekonań niczym nie ryzykuje wykonując sąsiedzki gest, a wiele może zyskać. Kiedy w 1986 roku Jan Paweł II złożył historyczną wizytę w rzymskiej synagodze, był on pierwszym papieżem, który przekroczył próg żydowskiej bóżnicy. Tam właśnie tak pięknie stwierdził, że żydzi są naszymi starszymi braćmi w wierze. Trudno uwierzyć, że przez dwa tysiące lat żaden inny zwierzchnik Kościoła nie zdołał uczynić podobnego gestu. Oczywiście dla Ojca Świętego, syna Wadowic, krok taki to nic nowego, bo jak wiemy, nieraz miał on okazję towarzyszyć kolegom w wadowickiej synagodze. Mały gest, ale znaczenie ogromne.

Po drugie, w dzisiejszym świecie, w którym panuje nie ateizm, lecz raczej indyferentyzm, powstaje nowy podział między ludźmi. Po jednej stronie znajdują się ludzie wiary: wyznawcy różnych religii i wyznań, po drugiej zaś – obojętna religijnie masa. W takim układzie ludzie wiary powinni się z sobą solidaryzować. Na przykład wartości rodziny czy obrona praw ludzkich nie są wyłącznie chrześcijańskie. W tym miejscu mogę przypomnieć zdanie następcy tronu brytyjskiego, księcia Karola, który ma w przyszłości nosić tradycyjny od XVI wieku tytuł „obrońcy wiary”. Rozpoczął on trwającą wciąż dyskusję stwierdziwszy niedawno, że nie chce być obrońcą wiary (czyli obrońcą wiary protestanckiej Kościoła anglikańskiego), lecz woli być obrońcą wiar, czyli patronem wszystkich ludzi wierzących. Jest o czym myśleć. Ostatnia podróż Ojca Świętego do Ziemi Świętej, która nie ograniczyła się do odwiedzenia świętych miejsc chrześcijaństwa, jeszcze mocniej uwydatnia sens tej myśli.

Po trzecie, jeśli chrześcijaństwo w Europie ma przetrwać kryzys, pojednanie wszystkich wyznań chrześcijańskich jest koniecznością. Ekumenizm, który ma różne postaci, powinien wciągnąć wszystkich. Trudności leżą w szczegółach, nie zaś w zasadach. Moim zdaniem trudno podważyć twierdzenie, że religia miłości bliźniego wymaga przede wszystkim miłości wobec bliskich nam w wierze. Jeśli Ewangelia każe nam kochać naszych wrogów, tym bardziej jesteśmy zobowiązani kochać naszych współbraci w Chrystusie. Słowa Zbawiciela: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem” (J 14, 6) są podstawą wiary nie tylko katolików, ale również wiary każdego protestanta i każdego prawosławnego. Schizma między katolicyzmem i prawosławiem trwająca prawie tysiąc lat jest największym skandalem w historii Kościoła. Reformacja, która nie prowadziła do reformy Kościoła, lecz do jego pęknięcia, była straszną tragedią i pozostała źródłem konfliktów. Szczerze mówiąc, świat chrześcijański, który w teorii powinien umieć złagodzić i opanować różnice zdań między ludźmi, w praktyce zyskał smutne dziedzictwo kłótni i nienawiści. Bez uleczenia ran tkwiących w samym sercu chrześcijaństwa niewierzący będą zawsze patrzeć na wierzących ze sceptycyzmem. Jan Paweł II nie tylko wie o tym doskonale, lecz również dąży energicznie do rozwiązania tego problemu. Dla mnie osobiście szczytowym momentem w religijnym życiu współczesnej Anglii była uroczystość, podczas której Papież towarzyszył w modlitwie anglikańskiemu prymasowi przed ołtarzem w katedrze w Canterbury. Anglicy dobrej woli czekali na ten moment czterysta pięćdziesiąt lat. A Anglia to przecież tylko jeden kraj.

Po czwarte, krótka uwaga na temat tak zwanej dzisiejszej obojętności wobec religii. Podejrzewam, że obojętność ta dotyczy bardziej zorganizowanej formy religii niż samej wiary. Oczywiście trudno sobie wyobrazić religię całkowicie pozbawioną form zorganizowanych. Z drugiej strony, duchowy głód człowieka jest nieustanny. Stwierdzenie, że nie żyjemy wyłącznie chlebem, jest stwierdzeniem prostego faktu. Jest to również wyzwanie dla zwierzchników Kościołów. Kościół nie może biernie czekać w nadziei, że zabłąkane dzieci jakoś wrócą do dawnej praktyki. To raczej praktyka Kościoła musi dostosować się do potrzeb swoich dzieci. Rozkaz Chrystusa brzmiał prosto: „Paś owce moje!” (J 21, 16).

Na zakończenie rzecz absolutnie fundamentalna. Aby ludzie wykazywali szacunek dla Kościoła, musi on postępować tak, jak to radzi innym. Mimo że każde wyznanie chrześcijańskie uważa grzech i błąd za wrodzony element natury ludzkiej, Kościół nie zawsze chętnie przyznawał się do własnych grzechów i błędów. To zaniedbanie stworzyło ogromną barierę nieufności. Jan Paweł II raz jeszcze dał przykład, jak barierę tę można przełamać na sposób chrześcijański. Tak jak jednostka musi się spowiadać ze swoich grzechów, podobnie Kościół musi dokonać uczciwego rachunku sumienia. W tym roku, w związku ze swoją podróżą do Ziemi Świętej, zwierzchnik Kościoła katolickiego publicznie wyznał winy związane z szeregiem niegodnych działań i postaw Kościoła

w przeszłości. Papież równocześnie prosił, aby odpowiednie władze kościelne dokonały podobnego wyznania. We wspólnocie duchowej, w której oczyszczenie sumienia przez akt pokuty jest wysoko cenione od najdawniejszych czasów, krok taki nie powinien być niespodzianką. Faktem jednak jest, że Kościół rzadko praktykował podobną „higienę moralną”. Tym dalej sięgnąć może efekt obecnej zmiany, a reputacja Kościoła wśród wierzących i niewierzących niewątpliwie wzrośnie. Mogę jedynie dodać, że wczorajsza prasa podała, iż prymas Polski, kardynał Józef Glemp, wiernie poszedł za głosem Ojca Świętego¹. Moim zdaniem jego słowa były dobrze wyważone. Prymas słusznie stwierdził, że nie wolno spowiadać się z grzechów popełnionych przez innych, nie można jednak pomijać milczeniem zła, które „plami nasze szaty”. Zostało to powiedziane późno, ale odważnie. Rola Kościoła w życiu publicznym w Polsce została przez to niewątpliwie wzmocniona.

Mam nadzieję, że linia mojego rozumowania jest jasna. Kończę słowami Jana Pawła II z Gniezna: „po upadku jednego muru, tego widzialnego, jeszcze bardziej odsłonił się inny mur, niewidzialny, który nadal dzieli nasz kontynent – mur, który przebiega przez ludzkie serca”². Do prawdziwego zjednoczenia kontynentu europejskiego jeszcze daleko.

Jestem gościem Instytutu Jana Pawła II, a szczególnie jego kierownika, księdza profesora Tadeusza Stycznia. W swoich uwagach naturalnie nawiązywałem do słów Patrona tego Instytutu. Wiem też, że Ojciec Święty musiał kiedyś często jeździć z Krakowa do Lublina, więc idę jego śladem. Od dawna jestem krakusem, teraz – miejmy nadzieję – mam kwalifikację, aby się nazwać lublinianinem.

¹ Autor nawiązuje do uroczystej Mszy św. z okazji Wielkiego Jubileuszu w Warszawie 21 V 2000 r., podczas której prymas Polski, kard. J. Glemp, dokonał aktu wyznania win i błędów Kościoła w Polsce (przyp. redakcji).

² Jan Paweł II, *Tylko z Chrystusem można zbudować nowy dom dla Europy* (Homilia podczas Mszy św. z okazji 1000-lecia śmierci św. Wojciecha, Gniezno 3 VI 1997), „L'Osservatore Romano” wyd. pol., 18(1997) numer specjalny, s. 39.